

Miłość potężniejsza niż prawda



Piotr Semla

NIM NADEJDZIE **DZIŚ**

P i o t r S e m l a

NIM NADEJDZIE DZIŚ

PIOTR SEMLA

NIM NADEJDZIE DZIŚ

© Copyright by Piotr Semla

Projekt okładki: Piotr Semla

(Materiał na okładkę pobrany z www.pixabay.com
na podstawie licencji CC0)

ISBN 978-83-947067-2-2

Piotr Semla

Self-publishing

piotrsemla1@gmail.com

Zapraszam na moją stronę autorską:

<http://www.piotrsemla.blogspot.com/>

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,
rozpowszechnianie całości lub fragmentu bez pisemnej
zgody autora zabronione.**

Wydanie I, 2017

Spis treści

Wstęp

CZĘŚĆ PIERWSZA: TANIEC W CIEMNOŚCI

Szczęście

Czas

Przestrzeń

Prawda

CZĘŚĆ DRUGA: ŚNIENIE NA JAWIE

Niezapominajki

Znak

Odpowiedź

Ostatni bukiet

CZĘŚĆ TRZECIA: DRYFUJĄC PRZEZ OBŁĘD

Jeszcze nie czas

Kłątwa

Początek podróży

Oszukać przeznaczenie

CZĘŚĆ CZWARTA: ZAKŁĘCI W MIŁOŚCI

Po drugiej stronie

Bliska i nietykalna

Teraz już zawsze będziemy razem

Zakończenie

Wstęp

Wiele słyszałem o miłości. Ludzie mówią o niej tak, jakby stanowiła łatwe do obliczenia działanie. A tak naprawdę tylko niewielu udaje się poznać jej prawdziwy smak. Jest ona jedyną prawdą. Istniała zawsze, bo czegoś tak pięknego nie da się stworzyć. Miłość jest muzyką, przy której Bóg namalował świat.

Człowiek, który poczuł prawdziwą miłość, już nigdy nie będzie na nią czekał. Bo jest ona wszędzie. Podnosi słońce, by przyświecało tak wielu ludziom, w których zawsze pokładać będzie nadzieję. Niesie po niebie ptaki, by dryfując w przestworzach uczyły nas patrzeć ponad wszelkimi murami. Rozrzuca nocą gwiazdy, by uświadamiać, że czas jest tylko krótką podróżą, która tak naprawdę nigdy się nie kończy. Miłość każdego dnia puka do drzwi twojego serca i pragnie byś się do niej uśmiechnął. Ona już wybaczyła, ona już cię pokochała, dla niej jesteś niezwykły, zbyt niezwykły, by wciąż nie próbować wtulić cię w ramiona. Miłość się nigdy nie poddaje, nie zna granic, nie wie co to strach, wszystko potrafi w pomieścić, wszystko zrozumieć. I z każdym oddechem

wciąż przypomina, że nigdy nie jest za późno, by zacząć naprawdę kochać.

Musiało się bardzo wiele wydarzyć, bym to wszystko zrozumiał. Prawda jest taka, że nie zasługiwałem na szczęście, które mnie spotkało. Zbyt zależało mi, by wszystko uporządkować. A powinienem kochać bezwarunkowo, bez pamięci, pomimo przeszkód i szaleństwa.

Spotkała mnie bowiem miłość, która złamała wszelkie ograniczenia, która urzeczywistniła pragnienie niemożliwe do spełnienia. Ona wszystkiego mnie nauczyła, ona mnie ocaliła. Opowieść ta będzie najniezwyklejszą ze wszystkich opowieści. To opowieść o miłości, której nie można pojąć umysłem – miłości potężniejszej niż prawda.

**CZĘŚĆ PIERWSZA:
TANIEC W CIEMNOŚCI**

Szczęście

Od chwili mojego przebudzenia wszystko się zmieniło. Wcześniej byłem samotnym i nieszczęśliwym człowiekiem, słabo zarabiającym pisarzem, z ledwością wiążącym koniec z końcem. Lecz tego dnia, gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem najpiękniejszą kobietę na świecie. Trzymała mnie za rękę i uśmiechała się do mnie oczami pełnymi miłości. Miała na imię Diana. Później ujrzałem małą dziewczynkę i jeszcze mniejszego chłopczyka.

Byłem pewny, że śnię, ale gdy do moich uszu dobiegł krzyk: „Tato, obudziłeś się!”, już nie miało dla mnie znaczenia, czy wszystko jest jawą, czy snem. Nigdy nie marzyłem o niczym piękniejszym.

Chłopiec szybko wdrapał się szpitalne łóżko i przytulił się do mnie. Dziewczynka zrobiła to samo, zajmując miejsce z drugiej strony. Wziąłem chłopczyka na kolano i przesunąłem się, a dłonią, którą trzymałem Dianę, pociągnąłem ją w swoją stronę, więc i ona się zmieściła.

– Tak się cieszę – wyszeptała, gładząc dłonią moje włosy.

W szpitalnych drzwiach pojawiła się pielęgniarka, która uśmiechnęła się serdecznie i pobiegła do lekarza z dobrą nowiną. Okazało się, że przez tydzień leżałem w śpiączce, która spowodowała zanik wspomnień z ostatnich pięciu lat mojego życia. Nie pamiętałem, jak poznałem swoją żonę, nie byłem przy narodzinach swoich dzieci, nie wiedziałem nawet, ile dokładnie mają lat. Diana się bardzo tym przejęła, ale doktor pocieszył ją, mówiąc, że w ciągu paru dni wspomnienia zaczną wracać, a najpóźniej za kilka tygodni wszystko sobie przypomnę.

Zakazano mi jazdy samochodem, więc Diana musiała kierować. Przez cały parking Samuel i Sonia, ciągnąc ku ziemi moje ręce, prowadzili mnie w stronę pojazdu. Był nim niewielki mercedes, wyprodukowany zapewne w ciągu ostatnich lat, skoro nie znałem modelu. Wyglądał jakby zapłacono za niego fortunę. Dowiedziałem się, że całkiem nieźle zarabiamy. Diana była znaną malarką, a moja napisana przed dwoma laty książka, „Taniec w ciemności”, stała się bestsellerem.

Wszystko wyglądało na idealne, zbyt piękne by wierzyć, że jest prawdziwe. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko jednej rzeczy – poczucia rzeczywistości. Czułem, że ziemia niknie pod moimi stopami, a przez myśli związane z

przeszłością przebiega jakiś cień. Pojawiał się za każdy razem, gdy próbowałem sobie coś przypomnieć albo chociażby dopasować do obecnego życia, jakie pamiętałem – życie, w którym moja rodzina nie istniała. Lecz ilekroć spojrzałem na ich twarze, mrok spowijający moją pamięć stawał się nieistotny. Żyłem dla nich – tylko to się liczyło.

Pierwszą rzeczą, która wydała mi się znajoma, był zapach wiatru. Wpadał przez otwarte okno i wypełniał wnętrze samochodu. Diana przez większość drogi przyglądała mi się, a w uszach dźwięczał głos dzieci, które snuły różne historie na temat mojego „długiego snu”. Samuel uważał, że odbyłem daleką podróż w kosmos, a zdaniem Sonia miałem tak miły sen, iż zupełnie zapomniałem o tym, by wrócić do świata.

– Tatuś nigdy by nie zapomniał o nas – rzuciła moja żona, entuzjazmem jednak bardziej kolorując dyskusję, niż sprowadzając ją do wyjaśnienia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W gruncie rzeczy właśnie to się wydarzyło – zapomniałem. Jak to możliwe? Jak mogłem być tak szczęśliwy i zapomnieć o szczęściu? Nie potrafiłem nawet swobodnie rozmawiać – człowiek, jakiego pamiętałem, był zawsze sam, a ten, który stanowił część tej wspaniałej rodziny, znajdował się poza moim zasięgiem.

Obawiałem się, że zachowanie zbytnio odbiegające od osoby, jaką znali, przerazi ich, zwłaszcza dzieci.

W tej jednak chwili poczułem uścisk na ręce. Uścisk, który wydał się zrozumieniem. Odniosłem wrażenie, że Diana pojmowała więcej, niż mi się wydawało. I znów odnalazłem spokój w jej oczach. Spokój i tyle mądrości... Miała oczy, które wszystko już widziały, ale nie zatraciły nawet jednej iskry tej radości, z którą się zawsze rodzimy, a tak niewiele jej zostaje, gdy umieramy. Wydawała się jednocześnie tak młoda i jednocześnie tak dojrzała. Kosmyki jasnych włosów opadały na twarz, przysłaniając jedno z jej oczu, cała reszta włosów została spięta w kok. Były piękne, a jeszcze piękniejsze musiały być, gdy je rozpuszczała.

Ta myśl – myśl, że chwila, która trwa, nie jest ostatnią chwilą i nastąpią po niej kolejne; myśl, która pomimo piękna wydawała się tak daleka w obliczu magii chwili obecnej – wypełniła mnie bezgranicznym szczęściem.

Kiedyś nie wierzyłem w Boga, myślałem, że mnie porzucił. A teraz po prostu musiałem kogoś o to zapytać... Nie miało znaczenia, czy On istnieje, czy nie – po prostu musiałem zapytać:

Boże, co się dzieje? Czy to ty? Ty to zrobiłeś?

– Tatuś pozwolił sobie na trochę dłuższą drzemkę, a wy już wysłaliście go w kosmos. Co to, pospać nie można? – zapytałem, uśmiechając się do dzieci.

– To on tak powiedział – rzuciła Sonia.

– O tym, że myślałaś, że was zostawiłem, już nie wspomnę.

– A skąd mogłam wiedzieć – rzuciła mi przenikliwe spojrzenie. Nazbyt przenikliwe jak na czterolatkę. Jej oczy były podobne do oczu Diany, ale znacznie różniła ją okrągła buzia i miękkie rysy twarzy. Włosy miała identyczne, zdawały się zlewać z promieniami słońca, gdy raz na jakiś czas rozstępowały się chmury. Samuel z kolei bardziej przypominał mnie z młodości, miał zielone oczy i gęste włosy, półokrągłą twarz, i zawsze zdawał się być czymś zajęty.

Odwrociłem się i ująłem ich za ręce.

– Nigdy was nie zostawię.

– I nie będziesz już tak spał?

– Nie, teraz będę czujny jak nietoperz. –

Wytrzeszczyłem oczy i jak na sygnał wszyscy się zaśmiali.

– Ja i tak zostaję przy wersji z kosmosem – odparł Samuel. – Tylko kosmici nie pozwolili ci powiedzieć prawdy.

– Tak czy inaczej, już tam nie polecę. – Spojrzałem w oczy Diany, która przyglądała mi się z uśmiechem, a po

rozmowie z dziećmi rzuciła mi jedno szczególne spojrzenie. Odniosłem wrażenie, że zawsze tym spojrzeniem dawała mi znać, że „wszystko jest porządku”. Musiałem na nowo uczyć się czytać z jej oczu. – Nigdy już nie zasnę i nigdzie nie polecę. Teraz już zawsze będziemy razem.

Nie poznawałem tej zieleni, tej równowagi natury, raz żywiołowej, gdy wiatr porywał drzewa i gładził łąki, a raz spokojnej, gdy nagle cichł, a wszystko przepełniała mistyczna cisza – jakby cała przyroda oddychała w rytm muzyki, czasem pozostając w bezdechu spowodowanym zachwytem wszechogarniającego piękna. Czulem, że świat ożył, albo przeciwnie – to ja nagle otworzyłem oczy i zacząłem naprawdę żyć.

Po niedługim czasie rozpościerające się poniżej poziomu jezdni niziny skończyły się, a droga stromo wpadała do lasu, gdzie olbrzymie korony drzew niemal zupełnie zasłaniały słońce, raz na jakiś czas przepuszczając ogrom jaskrawego światła. Moją skórę gładził przyjemny chłód, a nozdrza przeszywał zapach leśnego powietrza. Na jednym z zakrętów ujrzałem sarnę, która słysząc nadjeżdżający pojazd gwałtownie wyciągnęła głowę w górę, rzuciła nam niepewne

spojrzenie, po czym zniknęła w gęstwinie zarośli, pozostawiając po sobie subtelne echo szelestu liści.

– Dlaczego ona ucieka? Przecież nic byśmy jej nie zrobili. – Samuel wychylił się przez okno, próbując dostrzec pomiędzy drzewami uciekające zwierzę.

– A skąd ona ma wiedzieć, że nic jej nie zrobimy? – rzuciła Sonia. – Może pomyślała, że jesteśmy kłusownikami i chcemy ją zjeść albo zedrzeć z niej skórę.

– Ale jak ucieknie, to przecież nigdy się tego nie dowie.

Nie mogłem pojąć, skąd moje dzieci są tak mądre.

Trzy- i czterolatki słyną raczej z ciągłego zadawania pytań i odpowiadaniu kolejnymi pytaniami na usłyszane od rodziców odpowiedzi, nie prowadzą wnikliwej rozmowy. Właśnie tak chciałem je wychować, właśnie tak – w gruncie rzeczy – już zacząłem to robić, w mglistej i niejasnej przeszłości. Miałem mnóstwo pytań, ale wielu z nich wolałem nie wypowiadać przy dzieciach, świadomość, że z naszego wspólnego życia nie pamiętam niczego, co poprzedzałoby obecny dzień, mogłoby obdarzyć Samuela i Sonię w pełni zrozumiałą nieufnością. Jednak Diana doskonale mnie znała, zdawało mi się nawet, że była przygotowana nawet na to, co się wydarzyło...

– Na wszystko przyjdzie pora – stwierdziła jednocześnie w odpowiedzi na moje nieme zapytania, jak i

finalizując nierozstrzygniętą debatę dzieci. – Prawda nigdy długo nie pozostaje w ukryciu. Czasem wystarczy spojrzeć w czyjeś serce i wtedy wszystko staje się proste.

Właśnie tak sobie ją kiedyś wyobrażałem. Taka właśnie miała być kobieta z moich marzeń. Mądra, ale przepełniona zapalem odkrywania; wrażliwa, ale w imię wielkiej sprawy gotowa stawić czoła wszelkim przeciwnościom; cierpliwa, ale nie kryjąca osobistych pragnień. I teraz znajdowała się przy mnie, jako oddana żona i matka wspaniałych dzieci, trzymając za rękę prowadziła mnie w beztroską krainę spełnionych marzeń.

Nie miałem nic, a tego dnia obudziłem się... i nagle mam wszystko. Jak to możliwe? Czyżby coś mną zawładnęło i zmieniło całe życie bez mojego udziału?

Obrzeża lasu zaczęły się wznosić, a im dalej spoglądałem w jego głąb, tym wyżej drzewa wyrastały z podłoża. Droga zdawała się być rzeką, pędzącą zawiłym korytem, które z każdą chwilą zbliżało się do wielkiego morza. Niebawem las się rozrzedził, pozostawiając porośniętą trawą wzgórza, gdzieniegdzie ozdobione niebieskimi kwiatami.

– To niezapominajki. – Diana uśmiechnęła do mnie uroczo. – Kocham je.

Gotowa, by od początku pozwolić mi ją poznać, czerpiąca radość z przywilejów zdarzenia, które większość ludzi uznałaby za wielką tragedię... Znała mnie tak dobrze, że wiedziała, na co jestem przygotowany w sytuacji, w której nigdy wcześniej się nie znalazłem, znała mnie samego lepiej ode mnie.

– Mamusiu, ale cały świat już wie, że ty kochasz niezapominajki. – Zauważyła Sonia.

– Tak, ale nie mogłam się powstrzymać. To tak samo jak tatuś czasami wychodzi na dwór pokrzyczeć.

– Nie, teraz mnie wkręcasz. – Zaprzeczyłem, ale ta lekcja przypominania sobie przeszłości rozbawiła mnie całkowicie. Nie pamiętałem, by kiedykolwiek coś mnie tak rozbawiło.

– A myślałam, że to tajemnica. I nie można mówić, że go wiedziałyśmy. Ale jak już się wydało, to powiedz, tatusiu, dlaczego lubisz krzyczeć?

Sonia odpięła pas, przysunęła się do mojego siedzenia, złapała dłońmi jego oparcie i opierając podbródek o palce wpatrywała się we mnie, z rozbawieniem wyczekując odpowiedzi.

– Nie, ja nic takiego nie pamiętam. – W końcu mogłem otwarcie się przyznać, jednak nie sposób było mi uwierzyć,

skoro świadkowie mojego życia widzieli więcej ode mnie. Zdarzało mi się kilka razy krzycheć w przeszłości, ale zawsze jedynie koronowało to gniew i rozpacz, zamiast je po prostu wyrzucać. Czyżby teraz było inaczej? Czyżbym krzyczał ze szczęścia?

– Nie wolno kłamać, już się nie wywiniesz.

– A ja myślę, że już macie na to własne wyjaśnienie i nie musicie mnie o nic pytać, prawda Samuel?

– Ja wiem, że krzyczałeś do ludzi z nieba – chłopczyk odpowiedział z przekonaniem.

– Zawsze istnieje inne wyjaśnienie, niż takie z kosmitami – zaprzeczyła Sonia.

– Nie mów tak, bo przylecą i ci udowodnią, że się mylisz...

Kochałem ich. Z każdym przejechanym kilometrem, z każdą spędzoną razem chwilą coraz bardziej kochałem swoje dzieci i żonę. Ożywiali mnie, sprawiali, że moja utrata pamięci traciła znaczenie, skoro każda jedna chwila w ich obecności nadrabiała cały ten pozornie stracony czas.

Wzgórza długo zasłaniały pole widoku, oddzielając drogę od całego świata, jakby poza nami i samochodem nic nie istniało. I faktycznie, od chwili opuszczenia miasta nie minęliśmy żadnego pojazdu, a jedyną odznaką fizycznego

życia okazała się uciekająca sarna. Poczułem, że światem zawładnęła magia, która już nigdy nas nie rozdzieli.

Niebawem droga zaczęła się wznosić ku wzgórzom, które stopniowo odsłaniały niebo, tulące na swym skraju zbliżające się w stronę zachodu słońce. Przed nami pojawiło się wzniesienie, za którym niczego nie można było dostrzec, jakby za nim kończył się cały świat. Spojrzałem na Dianę, a przez jej twarz przemknęła niepewność, nieskutecznie tłumiona przez nieopuszczający twarzy uśmiech. Coś chciała mi powiedzieć, właśnie teraz, ale nie zrobiła tego. Zapytałbym, ale nagle wzniesienie uniosło nas w górę i ukazało przed nami olbrzymie jezioro – przepelnione zaklętym w kroplach wody światłem słonecznym, najpiękniejsze jezioro, jakie widziałem w życiu. Lecz nie to odebrało mi mowę... rzecz w tym, że ja doskonale pamiętałem to jezioro. Pamiętałem ten ostry zakręt na samym skraju stromego wzgórza opadającego aż do samego brzegu zbiornika wodnego. Nie potrafiłem oderwać oczu od wodnej toni, i gdy pojawiliśmy na środku zakrętu, wychyliłem głowę przez okno, próbując dostrzec jak najwięcej powierzchni, której ogrom czynił przeciwległy brzeg niewyraźnym, jawiącym za tajemniczą mgłą...

Nagle ukłuł mnie niepokój i natychmiast po tym mój wzrok zatrzymał się na odległym skraju, gdzie mgła

niespodziewanie się rozplynęła. Zobaczyłem ubranego na czarno człowieka, patrzył dokładnie na mnie... Pomimo ogromnej odległości poczułem na sobie jego wzrok, niemal usłyszałem jego myśli, których nie mogłem odczytać, ale mieściło się w nich tak wiele zła, że znieruchomiałem. I w ogóle nie miał twarzy, ujrzałem tylko czarną plamę, jakby postać stanowiła jedynie cień człowieka – cień, który wydał mi się znajomy, bardziej znajomy niż całe otaczające, niespodziewanie zagubione piękno.

– Patrz!

Odwrociłem się nagle. To była Diana. Patrzyła na mnie najcieplejszym na świecie wzrokiem, który odrzucił daleko niepokojącą wizję. Ta krótka chwila, kiedy ujrzałem to coś, wydawała się ciągnąć, jakby czas zatrzymał się w miejscu, i napawała mnie takim przerażeniem, że wszystko wokół znikło i przysięg mogłbym, że już nie powróci. Na moment ich straciłem, na moment ta wizja chciała mi wszystko odebrać...

– To ostatnia prosta i jesteśmy.

Wyjaśniła Diana, a jeszcze chwilę temu goszcząca na jej twarzy niepewność niemal zupełnie się rozplynęła. Złapała mnie za rękę i mocno ścisnęła. Jej wzrok się pogłębił, a głos wypełniła tajemniczość: – Zaraz wrócimy do domu i już zawsze będziemy razem.

Uśmiechnęła się i rozwiała ostatki przerażenia, ale mój umysł przeniknęły pytania. Znałem tą trasę. Pamiętałem tę drogę od zakrętu aż do kolejnego miasta. Nie mogła to być ostatnia prosta, nie przy tych wszystkich skrzyżowaniach i polnych drogach, na których kiedyś błądziłem... Nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć, skąd i dokąd jechałem, ale w jakiś zagmatwany sposób wiązało się to z ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem ze swojego dawnego życia – z tym przeklętym zakrętem...

– Przecież wiemy, gdzie mieszkamy. Ty to czasami zachowujesz się jak dziecko – rzuciła Sonia.

– Bo jestem dzieckiem, tyle, że dużym... – odparła Diana.

To niemożliwe, nie możemy mieszkać na tej drodze. Przecież tu w promieniu dwudziestu kilometrów nie ma domów. Nie ma żadnego... chyba, że...

Nagle zza porośniętego wzgórza wyłonił się ogromny budynek postawiony na skraju wielkiej polany. Pamiętałem go, dokładnie go pamiętałem. Tyle, że... gdy go widziałem, był zupełnie opustoszały... I nie widziałem go sam, był ze mną ktoś jeszcze, ktoś, kto śmiał się, mówiąc, że ten dom musi być nawiedzony...

– Witamy z powrotem! – Diana wyrwała mnie z namysłu. Podała dzieciom klucz, a one natychmiast pobiegły polaną w stronę olbrzymich drzwi, zapewne ścigając się ze sobą. Sonia za sprawą dłuższych nóg pozostawiła Samuela daleko w tyle.

– Pierwsza! – krzyknęła, gdy dobiegła.

– To niesprawiedliwe – oburzył się chłopczyk. – Jesteś wyższa ode mnie. Nigdy cię nie dogonię...

Głosy pociech zniknęły wraz z zamknięciem drzwi, a ja i Diana zostaliśmy w samochodzie. Mocniej niż wcześniej złapała mnie za rękę i z troską patrzyła w moje oczy.

– To tam... – wyszeptała. – Na tamtym zakręcie tydzień temu miałeś wypadek.

Wyczekiwała odpowiedzi, zapewne w nadziei, że coś pamiętam, że jeśli przypomnę sobie tą najgorszą rzecz, cała lepsza reszta też do mnie powróci.

– Coś mi się przypomniało – odpowiedziałem również szeptem. – Ale to nie mogło być tydzień temu. To było o wiele dawniej...

Przyłożyła dłoń do mojego policzka, kierując ją w górę wplotła palce w moje włosy. Następnie opuściła rękę i objęła oburącz moją dłoń, przyglądając się jej w lekkim zamyśleniu.

– I ten dom pamiętam inaczej – kontynuowałem. –
Jakby to nie był ten budynek. Wtedy nikt w nim nie mieszkał.
Gdy go zobaczyłem, był ze mną ktoś jeszcze, ten ktoś
powiedział mi, że...

– ...dom musi być nawiedzony – dokończyła,
uśmiechając się z ogromną ulgą. Spojrzała w moje oczy z
czułością. – Coś już pamiętasz, przypomniałeś sobie.

– Nie rozumiem?

– To ty ze mną tutaj byłeś. Poznaliśmy się pięć lat
temu. Czekałam w deszczu na podmiejskim przystanku,
załamana, że nie zdążyłam na autobus.

I nagle sobie przypomniałem jasnowłosą dziewczynę,
trzymającą w delikatnych dłoniach szarpany na wietrze kaptur
białej kurtki przeciwdeszczowej, w bezsilności wypatrującą
światel samochodów pośród zgiełku najbardziej deszczowej
nocy, jaką widziałem w życiu. Zatrzymałem się i krzyknąłem:
„wsiadaj”, a ona podbiegła, zatrzasnęła drzwi i spojrzała na
mnie. I wtedy już wiedziałem, że to jest „ta” kobieta. To była
ona, to była Diana.

– To naprawdę ty. – Poglądziłem jej policzek, nie
mogąc uwierzyć, że to wydarzyło się naprawdę. Nie
pamiętałem, skąd znalazłem się w tym miejscu, ale widząc jej
twarz, zapomniałem o całej reszcie. Być może w akcie

samotności wybrałem się w desperacką podróż, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, ale właśnie ta decyzja pozwoliła mi ją spotkać.

– Opowiedz mi, co było dalej. Przypomnę sobie więcej.

– Opowiem, ale najpierw pokażę ci nasz dom. – Wyjęła kluczyk ze stacyjki, a nim otworzyła drzwi, spojrzała na mnie z radosnym uśmiechem. – Tak się cieszę, że to pamiętasz.

Nigdy nie wymarzyłbym sobie piękniejszego domu. Okryto go niebieskim dachem naczółkowym, wznoszącym się w górę nad każdym z czterech górnych okiem. Nad drzwiami wejściowymi, pomiędzy dwoma oknami szczytowymi rozciągał się ograniczony balustradą kwadratowy balkon wspierany na rzeźbionych kolumnach, strzegących frontowego wejścia, skierowanego w stronę łąki. Wryte w drewnie wzory pojawiały się na futrynach okien, drzwiach, obiciach, i choć całość budynku pomalowano na białą, nie zatraciły one swojego uroku. Po obu stronach frontu rozciągała się weranda, a przed nią zaczynały się grzędy niebieskich niezapominajek, które gęsto otaczały cały dom. Zdawać by się mogło, że tworzyły magiczną granicę oddzielającą to niezwykle miejsce od reszty świata.

– Co się tutaj stało? – Zapytałem, gdy wchodziliśmy na werandę. Nie potrafiłem dopasować tego drewnianego, rozpadającego się, przepelnionego zapewne piszczącymi

powiewami wdającego się do wnętrza wiatru budynku z tym pięknym domem.

– Zaraz po tym, jak go odnaleźliśmy, okazało się, że dom ten należał do pewnego pana, który chciał go wyremontować. Po roku przeznaczył go na sprzedaż, a akurat wtedy myśmy wzięli ślub i... – Zaśmiała się z radości. – ...jest nasz.

– „Pewnego pana”, powiadasz? Tak się przedstawił?

– Teraz to już nieważne. Nie jest jego, tylko nasz. – Wspięła się na palcach, a ja ją objąłem i zastygliśmy w długim pocałunku, po którym otworzyła przede mną drzwi. Palcem wskazującym musnęła wiszące na sznurku przed wejściem dzwoneczki, które spontanicznie zadźwięczały. – Zapraszamy, Arturze.

Światło zachodzącego słońca rozjaśniło wielki hol zakończony szerokimi schodami, które w połowie długości rozbiegały się w dwie strony, prowadząc na górną kondygnację, której trzy krawędzie, wsparte długimi białymi kolumnami, zabezpieczono balustradą. Przez prostokątną przestrzeń można było dostrzec stropy wspierające dach, a w nachylnym w naszą stronę niewielkim oknie jawił się skrawek pomarańczowego nieba. Na każdej ze ścian mieszczących hol połyskiwały olbrzymie, wypełnione wygrawerowanymi

wzorami drzwi, po dwa z każdej strony, pierwsze podwójne, drugie pojedyncze.

Zatrzymałem się przy wejściu, a mój wzrok śledził wywieszone na ścianach obrazy. Przedstawiały okoliczne łąki, stawy, wzgórza, a na każdym pojawiały się niezapominajki, stanowiąc piękny kontrast z wszechogarniającą bielą pomieszczenia.

Diana stała przy mnie i trzymała moją dłoń, próbując zapewne spojrzeć na wszystko moimi oczami. W ciszy zrobiliśmy parę kroków, aż mój wzrok utkwiał na jednym szczególnym obrazie, wiszącym na wprost wejścia, nad rozwidleniem schodów. Przedstawiał nas. Stałem obok Diany i trzymałem znajdującego się przede mną Samuela za rękę, obok niego znalazła się Sonia. Nasze splecione dłonie tworzyły okrąg, próbujący zapewne zakląć w sobie szczęście, które rozjaśniało nasze twarze. Za nami rozciągała się ozdobiona kwiatami łąka, a w oddali pojawiał się las, jakby malarz znajdował się przy wejściu, a my podczas tworzenia dzieła patrzyliśmy w stronę domu.

– Zawsze będziemy razem – wyszeptała Diana, mocniej obejmując moją rękę i w geście zdumienia wspierając głowę o mój bark. – Tak go nazwałam. Jesteśmy tylko my i ten dom.

Dopóki ten obraz tam się znajduje, nic złego nie może się przytrafić.

Jakaś magia wypełniła pomieszczenie, mogłem ją poczuć... te obrazy zaklinały w sobie całe to miejsce, jakby wszystkie anioły strzegły naszego szczęścia. Tylko tego pragnąłem, zawsze tego pragnąłem – odnaleźć swój dom na bezdrożu, gdzie przy boku kobiety, którą naprawdę kocham, wychowywać dzieci, darzyć szczęściem i karmić się nim, bez obaw, zmartwień, niepotrzebnych myśli, pustych ludzi i całego tego beznadziejnego świata. Wreszcie mogłem oddychać...

– Ty to wszystko namalowałaś? – zapytałem, doskonale jednak znając odpowiedź. Diana odpowiedziała mi spojrzeniem. – Brakuje mi słów. To zbyt piękne, bym kiedykolwiek zdążył w to uwierzyć.

Uniosła dłoń i przyłożyła palce do moich ust.

– Nie będzie żadnego kiedykolwiek. Jesteśmy my... i jest zawsze. – Pocałowała mnie, po czym odsunęła się na długość splecionych rąk. – Oprowadzę cię, mój królewiczu.

Większe drzwi po prawej stronie kryły ogromną jadalnię, wykonaną w stylu starodawnym, ale odnowioną. Drewniane stropy dzieliły pomieszczenie na kuchnię, część przejściową, gdzie znajdowało się wejście do łazienki (do której prowadziły także mniejsze drzwi w holu) oraz jadalnię.

Cały aneks, sąsiadujące z nim rzędy zaszkłonych szafek, wypełnionych błyszczącymi naczyniami, oraz znajdujący się na samym końcu, usadowiony przy olbrzymim oknie kolosalny stół i krzesła wyrzeźbione zostały z dębowego drewna. Obicia krzesel oraz obrus wykonano w kolorze krwistej czerwieni, i w tej samej barwie jawił się materiał okrywający kilkadziesiąt drewnianych stojaków, obstawiających ściany. Na każdym z nich znajdowała się okazała rzeźba tego samego anioła, ale za każdym razem uwiecznionego w innej pozycji. W sufit w równych odstępach wmontowano wielkie świecznikowe żyrandole.

– Chodź zobaczyć salon.

Kiedy przechodziliśmy przez hol, Diana spoglądała na mnie zachęcająco, chociaż w oczach widziałem iskrę nadziei, że przypomnę sobie coś więcej. Niestety, nasze oddalone o lata pierwsze spotkanie było ostatnią rzeczą, jaka jawiła się w mojej pamięci.

– Schody prowadzą do sypialni, ale teraz jeszcze nie pora na sen. – Uśmiechnęła się do mnie, a przez jej oczy przemknął przyjemny błysk. W nic nie mogłem uwierzyć, ale pragnąłem z całego serca się odnaleźć w tym doskonałym świecie.

Salon kolorystycznie przypominał jadalnię, ale czerwień zastąpiono purpurą. Te same żyrandole i dębowa podłoga. Ściany jego pierwszej części wypełniały ogromne szafy, gdzie na otwartych pułkach postawiono mnóstwo maleńkich rzeźb. Pośrodku znajdował się stolik, na którym stał wazon dzierzący ogromny bukiet niezapominajek. Na samym końcu, przed wygaszonym kominkiem siedziały dzieci na wielkiej sofie. Sonia trzymała w rękach książkę i czytała coś swojemu młodszemu braciszкови. I nawet myśl, że czterolatka potrafi czytać, nie zdziwiła mnie w ogromie rzeczy niezwykłych.

Diana usiadła na sąsiedniej kanapie i zaczęła rozmawiać z dziećmi, a ja przystanąłem pośrodku pustej przestrzeni większej części salonu i przez purpurową firankę wpatrywałem się w zachodzące słońce. Z każdą chwilą coraz mniej wiedziałem, coraz bardziej się zatraciałem...

– Idźcie się jeszcze chwilę pobawić, zanim zajdzie słońce – powiedziała Diana, a dzieci pobiegły w stronę holu i lada chwila mogliśmy je obserwować przez okno frontowe.

Moja żona podeszła do niewielkiego stolika, gdzie stał gramofon i włączyła go. Rozległa się piękna muzyka, w której tle słyszałem kobietę, anielskim głosem nucącą melodię. Diana podeszła do mnie, ujęła moje dłonie i położyła na swoich

biodrach, po czym objęła moją szyję. Zaczęliśmy tańczyć, a przestrzeń wokół zupełnie odpłynęła. Gdy znikła muzyka, słyszałem tylko jej oddech, w nim odnalazłem rzeczywistość. Potem spojrzała na mnie i czytałem w jej oczach, czytałem i nie mogłem zrozumieć... nie potrafiłem zrozumieć, że można aż tak bardzo kochać...

– To nasza ulubiona melodia, piękna prawda?

– Nigdy nie słyszałem piękniejszej – odpowiedziałem szeptem. – Jakby wszystko nagle wypełniła magia.

I tak się stało. Dopiero, gdy wróciły dzieci, zauważyłem, że w salonie płoną świece porozstawiane na półkach. Mogłem je wcześniej przeoczyć, ale zauważyłbym ogień... Żyrandole nad nami również płonęły.

– Pewnie jesteś głodny – powiedziała. – W kuchni czeka obiad.

Dzieci pobiegły pierwsze, a my ruszyliśmy w ślad za nimi. Hol rozświetlały świeczniki wmontowane pomiędzy obrazami, których wcześniej również nie dostrzegłem, choć ciężko byłoby je przeoczyć. A już na pewno nie mogłem nie zauważyć momentu, kiedy stół został nakryty, a wszystkie świeczki żyrandoli rozpalone. Jak długo tańczyliśmy? Czy dzieci to zrobiły?

Wędrowaliśmy w czwórkę w stronę rozświetlonego ogromnym świecznikiem stołu i rozsiedliśmy się po czterech jego stronach. Światło świec błyskało w szybach, przez co nie można było dostrzec niczego na zewnątrz. Wszyscy nałożyliśmy sobie jedzenie z ogromnych talerzy, jedzenie, którego nikt nie zdążyłby przygotować.

Cisza zdawała się być coraz bardziej mistyczna, przenikała przez nią jedynie melodia, przy której tańczyłem, słyszałem ją wyraźnie, jakby ktoś rzucił na mnie czar. Nawet jedzenie miało magiczny smak. Talerz wypełniłem sałatką i warzywami, ale niczego nie potrafiłem rozpoznać, jakby sporządzono je z nieistniejących produktów.

Zerknąłem znad świecznika na Dianę, która odpowiedziała mi uśmiechem. Wyglądała na najszczęśliwszą istotę na całym świecie. Dzieci rzucały sobie ukradkowe spojrzenia, jakby opanowały swój własny język porozumiewania się bez słów.

Kiedy kolacja dobiegła końca, Diana zaprowadziła Samuela i Sonię do łóżek, a mi kazała wziąć kąpiel. Dwie wielkie umywalki usadowiono obok drzwi do toalety, a dalej znajdowało się wejście do pomieszczenia służącego do kąpieli. Biel ścian kafelkowych połyskiwała w blasku świeczników zajmujących ściany. W pomieszczeniu kąpielowym panował

delikatny półmrok, który rozjaśniały jedynie świece rozstawione dookoła okrągłej wanny. Poza nią w pomieszczeniu znajdowało się jedynie wielkie lustro, usadowione naprzeciwko drzwi.

Wanna już została wypełniona wodą i pianą, a w powietrzu panował intensywny zapach kwiatów. Rozebrałem się i przekroczyłem krawędź wanny, gdzie nie stał żaden ze świeczników, po czym położyłem się i odpłynąłem.

Rozległa się znów ta sama melodia, poczułem to samo uczucie, przepelniające mnie podczas tańca z Dianą. Dźwięk jej oddechu zlał się ze światłem świec i już nie pamiętałem, gdzie jestem. Była tylko ona i ja. Przepelniająca wszystko magia pozwoliła mi dostrzec muzykę, która przybierała kolory – takie, których nigdy nie widziałem, ale były najpiękniejszymi barwami, jakie kiedykolwiek widziałem.

Poczułem na ustach dotyk, delikatna dłoń objęła moją głowę, a poprzez mgłę wypełniającą zatracony umysł dostrzegłem jej twarz. Nasze oddechy zlały się w jeden, a ciała zniknęły. Kochaliśmy się tak, jakby poza miłością nie istniało nic, a ona sama stanowiła drzwi do świata całkowicie wypełnionego magią.

Teraz już zawsze będziemy razem – usłyszałem w swoim umyśle jej szept, więc i ja odpowiedziałem tak, by wiedziała tylko ona...

Kocham cię. Tak, teraz już zawsze będziemy razem.

...:: Reszta publikacji dostępna w wersji pełnej ::...